

Kronika tygodniowa.

Aczkolwiek niniejsza kronika, jako pierwsza w Wielkim Poście, miała być mym listem pasterskim do pobożnych Czytelników w kwestyi czynienia pokuty i żalu za karnawałowe wybryki, poświęcić ją przecież muszę jeszcze owym zeszyt tygodniowym „klinom“, mianowicie teatrowi i tańcom.

Tango spadło wówczas z porządku dziennego z powodu braku miejsca, wspominałem zaś, że jest to dla kronikarza *vis major*, coś w rodzaju paragrafu czternastego, na podstawie którego pan me-trampaż rządzi, jak mu się podoba. Ponieważ zaś wypoczął sobie w czasie ośmiotygodniowego strejku, nic dziwnego, że teraz chce wyładować nagromadzoną energię i hejże na kronikarza!

Ale ja się na niego nie gniewam.

Do spraw teatralnych powracam zaś, zmuszony listem pana: „Jednego z wielu“, datowanym z Krakowa, dnia 20 lutego b. r.

Pan ów, osłodziwszy najpierw pigułkę, którą mi następnie podaje, pochwałą kronik, godzi wprost w moje serce i przypomina mi własne moje przyznanie, że, niestety, mylę się nieraz w swych wypowiedniach politycznych i meteorologicznych, więc też, *eo ipso*, i w sprawie krakowskiego teatru bardzo mi wierzyć nie można.

W obronie własnej odpowiem tyle, iż meteorologia i polityka to co innego, teatr zaś co innego. Referent od wielkoświatowej polityki, nadający jej ton i kierunek, rezyduje daleko, takż pan od pogody znajduje się znowu bardzo wysoko, trudno więc zetknąć się z nimi osobiście i zasięgnąć języka. Pomyłkę łatwo więc wytłumaczyć, zwłaszcza, że polityka i meteorologia, to kwestye bardzo nieuchwytnie i lubiące robić niespodzianki.

Ale nie koniec na tem! W dalszym ciągu listu owego czytamy, co następuje: „a to tem bardziej, że kto tam wie, czy z p. Pawlikowskim nie wychylił się również kilku generałów, przetrącając bułkę z poledwicą i popijając piłznerem, jak to niedawno, do czego się otwarcie przyznajesz, uczyniłeś z jednym z kandydatów na miejskiego radcę“.

I znowu przypomnieć Ci muszę, mój prześladowco, że bezpośrednio po tem dodałem wyraźnie, iż ja swych zasad nawet za bułkę z poledwicą, generałównę i piłznera nie sprzedaję!

Tyle w obronę mej bezstronności.

Przejdźmy jednak do *meritum* sprawy. Esencją listu jest sam jego środek, gdzie znowu czytamy:

„Z ubolewaniem nadmienić muszę, ja i grono, bardzo obszerne grono, podobnie myślących kulturalnych ludzi, z prawdziwą przykrością stwierdzić musi upadek obecny teatru krakowskiego. Za rządów Solskiego lub Kotarbińskiego mieliśmy rzeczy, o których się p. Pawlikowski może nigdy nie śniło, słyszeliśmy takie dzieła, jak... (tu następuje wyliczenie dwudziestu siedmiu tytułów sztuk, z których, pozwolę sobie zauważyć, kilka przedstawiono już za rządów obecnego dyrektora)... a teatr nie świecił pustkami, gdy p. Pawlikowski karmi nas jedynie jakimiś muchami, Pygmalionami, prezesowami, feministkami...“

Otóż w kwestyach politycznych i meteorologicznych mogę się mylić, na teatr patrzę się zaś własnymi swymi oczyma i to do tego w okularach i widzę na sztukach poważnych takie pustki w krzesłach, łóżach i na galerii, że doprawdy aż się człowiekowi słabo robi. Autor listu przyzna też, że chyba i artystom nie sprawia to wielkiej przyjemności, jeśli muszą grać przed audytoryum, w którym zajęte są tylko gratisowe miejsca. Nie mówię już o przedsiębiorcy, który, choćby kochał sztukę, jak swą rodziną siostrę, nie bardzo się cieszy, jeśli ciągle tylko musi trzymać rękę w kieszeni i dokładać raz za razem, a w nagrodę za to słyszeć i czytać, że nie dorósł do wysokości swego zadania.

Jeśli cofniemy się pamięcią w owe czasy, gdy p. Pawlikowski obejmował przed mniej więcej pół rokiem krakowską scenę, przyznać musimy, że dawał nam same poważne sztuki i uwzględniał prze-ważnie repertuar swojski, rodzimy, przy pierwszym jednak powtórzeniu widzieliśmy nieraz aż po... trzydziści osób w audytoryum!

A nie trzeba zapominać i o tem, że kierownik naszej sceny jest jej dzierżawcą, który chciałby doprowadzić bodaj do tego, by koniec schodził się z końcem. Dla miłości sztuki można się rzec dochodów, trudno jednak żądać, by ktoś tylko wysiłał się finansowo.

Powiadają niektórzy, że teatr jest subwencjonowany. Tak, to prawda! Trzeba jednak wiedzieć, że, jeśli gdzie, to tutaj zastosować można przysio-

wie: „niech nie wie lewica, co bierze prawica“. Lewica daje rzeczywistość subwencyę, prawica zaś zabiera ją zaraz w dwukrotnej przynajmniej wysokości pod postacią czynszu za budynek, opłat za światło, wodę i t. d., tak, że przedsiębiorcy nic z tego nie zostaje, owszem, dodawać musi z własnej kieszeni.

I jakże się tu dziwić i gniewać, że wobec tego, by nie musieć ogłosić bankructwa i dotrzymać bodaj do terminu końca dzierżawy, stara się o przedstawianie sztuk, które robią kasę.

Jeśli chcemy, aby teatr był idealnie odpowiadającym swemu kulturalnemu posłannictwu, postarajmy się, by kierownik sceny był w całej pełni jej kierownikiem, a nie dzierżawcą tylko, to jest, by nie potrzebował się oglądać za tem, skąd wziąć pieniędzy, by nie musieć zamknąć budy, boć przecież i artyści, jeśli im się gaży nie zapłaci, nie będą grać „dla pięknych oczu“ P. T. Publiczności.

Gmina, dbając o umysłowe rozrywki mieszkańców miasta, powinna na teatrłożyć i ponosić ofiary, a nie starać się o zrobienie na nim interesu. Dopóki zaś tak będzie, jak jest teraz, musimy pogodzić się z koniecznością, że teatr tu i ówdzie kuleje. Nie wystarszą same dobre chęci, ani napis na froncie gmachu: „Kraków — narodowej sztuce“.

Zresztą jeszcze ten się nie urodził, kto by wszystkim dogodził!

W ubiegłą sobotę wystawił teatr krakowski Ibse-nowskiego „Budowniczego Solnessa“, na bieżący tydzień zapowiedziano tegoż autora „Hedde Gabler“, a o to znowu gniewa się sprawozdawca „Nowej Reformy“, twierdząc, że za dużo dwa grzyby w barszcz! Dodaje też, że w Warszawie święcą tryumfy „Dzieje Józefa“ Perzyńskiego, we Lwowie wyśpiewuje krytyka hymny pochwalne na cześć „Parysów“ Zapolskiej, w Poznaniu i Lwowie sukces śmiechu osiągnęła komedia Stasiaka „Miliarderzy“ i robi uwagę, że możeby nareszcie i krakowska dyrekcyja zechciała sobie przypomnieć o obowiązku względem polskiego repertoaru i polskich autorów.

Na to się zgadzam, choć znowu muszę stanąć w obronie dyrekcyi, która polską twórczość sceniczną respektuje w miarę sił i możliwości, pamiętając jednak chwilę, gdy się na nią poważnie gniewano, że nie zapoznaje nas z arcydziełami obcych autorów dramatycznych...

Niema na świecie człowieka, który byłby bez skazy, nie powinno się przecież potępiać tak bezwzględnie kierownika krakowskiej sceny, zwłaszcza że, jak starałem się wykazać, wina leży nie tylko po jego stronie, ale raczej w większej części w naszych stosunkach teatralnych, które koniecznie wymagają naprawy...

Autor listu powinien się zgniewać na mnie, że nie chcę mu się dać przekonać i pójść z irytacji na „Panią prezesową“ lub „Hiszpańską muchę“, a przekona się, że, choć pojawiają się na scenie po raz nie wiem który, audytoryum będzie wypełnione po brzegi, i choć to Wielki Post, rozbawione i rozanielone!

Kilka słów poświęcić muszę teraz i modnemu tango, który, zaledwie się pojawił w Europie, już znalazł niebezpieczną konkurentkę w weneckiej „furlanie“.

Dzięki krakowskiemu Syndykatomu dziennikarzy, mieliśmy podczas niedzielnych czarnych kaw w Hotelu Pollera sposobność oglądania tych choreograficznych produkcji i powiedzmy szczerze, nie znaleźliśmy w nich nic, ani zbytecznie obrażającego moralność, ani też tak znowu uroczego, aby aż tracić głowę. Tymczasem społeczeństwo nasze podzieliło się na dwie wrogie sobie grupy, tangistów i furlanistów, które mają się zetrzeć podczas najbliższych wyborów do krakowskiej Rady miejskiej.

Która partya zwycięży, tego przesądzać nie można, dla ludzi tej tuszy, co ja, jest to, jak owoc zakazany, choć sam na własne uszy słyszałem, jak jeden z naszych grubasów zapowiedział, że póty nie spocznie, póki w tangu nie zdobędzie mistrzostwa, jeśli już nie Wielkiego Krakowa, to bodaj którejs z gmin przyłączonych.

Jak ongiś football, tak teraz znowu tango i furlana są na ustach wszystkich, nawet wielcy ludzie, którzy „robią politykę“ nie wahają się występować publicznie i pracować na popularność nogami, jeśli głowa nie wystarcza.

W tem miejscu powinienbym właściwie przejść już do wielkopostnej części kroniki, mimochodem przecież muszę się zastanowić nad tem, czy karnawał tegoroczny, aczkolwiek ożywiony, jak rzadko, miał jakieś dobre strony, czy też nie.

Pod dobrymi rozumem liczbę zawrzeć mających się po upływie wielkiego postu stadł małżeńskich, karnawał jest bowiem niczem innym, jak tylko jarmarkiem na ... (w tem miejscu niejedna sufrażystka

powie z przekąsem: Wiem! Chciał napisać... na gęsi!... Ale się wstrzymał! Jeszcze nie jest tak bezczelny!) Otóż nie „na“, ale jest jarmarkiem małżeńskim, tego nikt mi chyba nie zaprzeczy.

Z początku prowadziłem dokładną ewidencję zabaw tak publicznych jak i prywatnych (z gorącą kolacją, lub tylko z paczkami i herbatką, w każdym razie, o ile w domu były panny na wydaniu, przyjęcie było gorące!), później straciłem rachubę, stwierdzam przecież, że publiczne obliczać można na tuziny, prywatne na kopy!

Rezultatem tych wszystkich wysiłków finansowych biednych ojców rodziny jest, jak się przypadek dowiedziałem, aż dwoje zaręczyn i to nie bardzo pewnych. W jednym wypadku uzależniono je od zdania egzaminu przez oblubieńca, w drugim od śmierci cioci, która ma pozostawić panience pewną sumkę w gotowni, a cieszy się znakomitem zdrowiem.

Pozatem skonstatowałem, że w czasie karnawału sprzedali nasi jubilerzy tylko trzy pierścionki zaręczynowe i to z tego dwa ze złota *double*, a tylko jeden prawdziwy, większy natomiast pokup był na obrączki ślubne, których poszło kilka tuzinów.

Jeden ze złotników, którego zapytałem o powód, poinformował mnie, że konkurencyę robią im zakłady zastawnicze.

— Bo to, uważa pan — mówił — taki facet, któremu się gwałtem zachciało żony, goły zwykle, jak święty turecki. Idzie więc do lombardu, kupuje tam pierścione na licytacji, bo to taniej, a narzeczona powiada, że to pamiątka rodzinna po babce, która była wdową po pułkowniku z czasów napoleońskich... A ona tymczasem, pocziwa kobiecina, świeć Panie nad jej duszą, sprzedawała sobie jarmarki na Placu Szczepańskim. Ale u nas teraz demokracja wychodzi już z mody!

Z wykazu biura statystycznego okazuje się, że w karnawale zawarto małżeństw prawie tyle, co w latach poprzednich, o wyludnienie kraju nie należy się więc obawiać, lojalni obywatele postarają się uzupełnić braki wywołane zeszłoroczną emigracją za Ocean.

C. k. Dyrekcyja Kolei Państwowych w Krakowie donosi: Z dniem 1 marca 1914 r. otwiera się na szlaku Kraków-Lwów pomiędzy stacyami Tarnowem i Czarną istniejącą wymiennie **Wola Rzędzińska** jako przystanek osobowy dla ruchu osobowego i pakunkowego.

Wydawanie biletów jazdy i ekspedycya pakunków odbywać się będzie w samym przystanku.

Czasy odjazdu pociągów, zatrzymujących się na tym przystanku, podane są w ściennym rozkładzie jazdy i w rozkładach kieszonkowych

RIZ ABADIE
Tutki z wata FERROL
— poleca —
Société Abadie w Paryżu.



Kobiety naszego kraju mają cerę z natury ładną, lecz bardzo wrażliwą na mróz, słońce zanadto palące. Aby zapobiedz opaleniznie, odmrożeniu, czerwoności, a nawet i piegom, używać należy do codziennej toalety *Crème Simon*, puder ryżowy i mydło Simon. Proszę nie pomylić z innymi kremami. J. Simon Paryż i w aptekach, perfumeryach, drogueryach. 53

DRA CRONIER'A PIGULKI
PRZECIW BOLESCIOM NEURALGICZNYM

Dostać można:
we wszystkich Aptekach
i Składach Aptecznych.
Skład Główny:
PARIS, 75, rue de la Boétie.

Zapobiega
Przyno-
szą Ulgę
Leczą

BOLEŚCI
NEURAL-
GICZNE
i KOBIECE.

Sprzedaj i kupno

majątków ziemskich, domów, dzierżawy, pożyczki hipoteczne przeprowadza najlepiej

W. Biernacki, Warszawa, Krak. Przedm. 6.